

# »WIELKA BIBLIOTEKA«

ARCYDZIEŁA LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ.

- Nr. 1. Z. K. Biblioteka Główna AP w Siedlcach  
nr inw.: KG - 208
2. A. M.  
3. St. V.  
4. A. D.  
5. "  
6. "  
Przeł.
7. J. Słowacki: „WIEŚLA”  
8. J. Kochanowski: „TRENY”  
9. J. Kaspruwicz: „HYMNY”  
10. I. Krasicki: „SATYRY”  
11. K. Brodziński: „WIEŚLA”  
12. W. Shakespeare: „KRÓL LIR”  
Przeł. J. Kaspruwicza.  
13. H. Rzewuski: „PAMIĄTKI SOPLICY”  
14. J. Gordon Lord Byron: „DON JUAN” T. I.  
15. " " " " " " T. II.  
Przeł. E. Porębowicza.  
16. J. Słowacki: „W SZWAJCARJI”  
17. A. Mickiewicz: „PAN TADEUSZ”  
18. C. K. Norwid: „PROMETHIDION”  
19. A. Mickiewicz: „GRAŻYNA”  
20. A. Fredro: „ZEMSTA”  
21. W. Syrokomla: „URODZONY JAN DĘBORÓG”  
22. H. Ibsen: „PEER GYNT”. Przeł. J. Kaspruwicza.  
23. " " „BRAND”. Przeł. J. Kaspruwicza.  
24. Z. Krasiński: „NIE-BOSKA KOMEDJA”  
25. J. Słowacki: „LILLA WENEDA”



208

WIELKA BIBLIOTEKA

NR. 31

JULJUSZ SŁOWACKI

JAN BIELECKI

POWIEŚĆ NARODOWA POLSKA,  
OPARTA NA PODANIU HISTORYCZNEM

208



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

zm 147

JAN BIELECKI

1 25

JULJUSZ SŁOWACKI

# JAN BIELECKI

POWIEŚĆ NARODOWA POLSKA,  
OPARTA NA PODANIU HISTORYCZNEM



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”.



540

JAN

208

Tekst opracował na podstawie pierwodruku z 1832 roku  
dr. Stefan Vrtel-Wierczyński.



Zakłady graficzne Instytutu Wydawn. „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy.

## I.

## WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne księgarnie otwarły —  
Tu źródła bogactw w zapyłonej ramie!  
Czytam... Jak dziko ten język umarły  
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie!  
Język i, gorszy, przesąd zakonnika,  
Jak rdzawa klamra, myśl księgi zamyka.  
Czy tu wygrzebieasz dzieła Giedyminów?  
Czy głos Zygmunatów, jak echo daleki?  
Są to, jak sfinksy, te ubiegłe wieki:  
Mówią zagadką, dziś ciemną dla synów.  
Znajduję słowa: „Kraj nasz dosiagli szczytu,  
Chylić się musiał”. — Precz z myślą szatana!  
Pamięć, w dalekich wiekach obłąkana,  
Niech spocznie!... Okno klasztoru otworzę...  
O, jak spokojne otchłanie błękitu!  
Tam, zdala, płynie złote kłósów morze,  
A tu klasztoru szumią ciemne lipy —  
Myśl rozwesela daleki szmer lasów...  
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,  
Jestem wesoly, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa  
Z nieszczęść obecnych, bezwładny — bez steru.  
Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru —

Tam Izba Parów — tu Tamiza mgława  
 Połyska słońcem... Przebiegałem chmurny  
 Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu,  
 Bo ja sam byłem, jak umarły, w gmachu,  
 A oni żyli... Nie zajrzałem w urny;  
 Wybiegłem — więcej nie wchodzę w te ściany...  
 Ale samotny wracam dziś i codzień  
 W dziedziniec, głazem grobów brukowany,  
 Po których stąpa niemyślny przychodzień...  
 Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,  
 Walczyli, nędzni, z niezdolności wrogiem,  
 Dążyli spiesźnie do progów kościoła,  
 I, umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy  
 Niszczę do reszty śladem mojej stopy —  
 I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy  
 Grobowi gmachu nie dopuści cienia.  
 Szaleni! Dążyć pod świątyni stropy,  
 Nie mając w duszy wrącego płomienia?!

Posepny siadę na odłamie głazu.  
 Smutna się powieść w pamięci rozwija.  
 Czytałem w księgach — a godło obrazu  
 Było: „Kraj zdradził, lecz zdrada zabija“.

W kronikach znajdziesz powieści ośnowę —  
 Z kronik czerpane rysy i kolory.  
 Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,  
 Na tronie zasiadł król Stefan Batory.  
 Ciężkie dla szlachty były rządy nowe;  
 Część po wsiach własne zamieszkała dwory.  
 Co było w kraju? Nie skreślę do razu —  
 Jeden cień tylko maluje obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy:  
 Zamek objęła rzeka w dwa ramiona —  
 Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,  
 Dalej kaplica, blachą powleczone:  
 W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy  
 Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.  
 Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,  
 Co ma król polski, i szlachcic mieć może.

Posadzki, wzorem włoskim, marmurowe,  
 Na ścianach srebrem tkane adamaszki,  
 Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,  
 Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki,  
 Wytryska woda, tchnąca wonią róży,  
 I nazad deszczem brylantowym spada.  
 Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,  
 W oczy się patrzy i chęci odgada,  
 Ani się kiedy śmie odezwać słowy —  
 Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady.  
 Oto go łatwo rozeznac za stołem:  
 W złocistej szacie, ale bardzo błady,  
 Wydaje troski zachmurzonem czołem.  
 Może biesiada cierpienia ukoi?  
 Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czołe pozbył zwykłej dumy.  
 Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,  
 Wesolej szlachty ozwały się tłumy,  
 Wesolym gwarem zabrzmiały komnaty;  
 Już wino słabsze zwycięża rozumy:  
 Dość jednej iskry — wnet ogień wybucha.  
 Pan Brzeżan mówi — szlachta wstaje, słucha.

„Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,  
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie  
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,  
A potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! Szlachcie obraził mię podły.  
Szedłem do króla; nie błagałem laski:  
Wnet sprawę długie indukta wywiodły —  
I jam był winien! Winien był Sieniawski!  
I oko w oko, przed króla obliczem,  
Widziałem wroga; niepróżno przychodził!  
Król go pochwalił — pochwalił, nagrodził,  
Nie spojrział na mnie i odprawił z niczem!

„Nasz dumny Stefan — do czegoż on zmierza?  
Śmiałyby władać, jak niemieckie księża?  
Wszak nasze państwo to gotycka wieża:  
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;  
Niechaj się jedna usunie kolumna —  
Gmach cały runie, cały się rozprzeże!  
Ja się usunę! — niech mię grom dosięże! —  
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!...

„Hej, szlachta! Znacie Bieleckiego Jana?  
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana —  
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,  
Jak król udzielny — w darowanej grzędzie!  
A, kiedy zamki wałą się pod gromem,  
On podparł domu wałace się ściany —  
I tak spokojny między niemi żyje,  
I tak szczęśliwy, że nad jego domem  
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije!  
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda  
Jękiem i dymem, iskrami płomieni!

Bracia! Noc widna — niedaleka jazda!  
Słyszałem — dzisiaj Bielecki się żeni;  
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,  
Dom zrzuć, spalę, grunt domu zaorzę!”

Miodem i winem i ucztą zagrzany,  
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.  
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem  
Migały w tłumie drogie aksamity,  
Złociste pasy i jasne żupany,  
Jak się wahały brylantowe kity  
I oko ćmiły różnobarwne krasy;  
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe  
Wicher nowego świata zbłądzi lasy —  
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,  
Gdy się mieszaą wszystkie barwy borów,  
Liście i kwiaty płyną, jak potoki.  
Zachwyca oczy cudna gra kolorów —  
Szum, razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta. Już dosiadła koni...  
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki;  
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni —  
Dalej — na pola przez ubite szlaki!  
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi;  
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi!

## II.

## WESELE.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary  
 Jaśnieje ołtarz; potężne organy .  
 Wstrząsają pełne grobowców filary —  
 Po ławkach jasne migają żupany;  
 Tam poślkniały ksiąg pergamin stary,  
 A owdzie stoczek, złotem malowany,  
 Ołtarz, upstrzony woskowemi kwiaty —  
 Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno —  
 I młoda para przysięgi powtarza.  
 Z otwartem czołem, Jan Bielecki, zbrojno,  
 W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,  
 Jako do bitwy, stanął do ołtarza.  
 Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.  
 Przy męskiej piersi, gdzie żelaze lśniło,  
 Od łubej w miłym dany upominku  
 Skłaniał się bukiet z róży i barwinku  
 I drżał listkami: tak mu serce biło,  
 Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...  
 A dalej — swaty za młodym rycerzem,  
 A dalej — bracia husary, pancerni,  
 A dalej — służba w wielkiem stoi kole,

Zbroją od prostej odróżniona czerni.  
 Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem  
 Rozwiną skrzydła na barkach sokole  
 I, jako ptaki, głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!  
 Trudno weselne opisać ubiory.  
 Ślubna jej szata była w dwa kolory:  
 Błękitną barwą lśniąca jedna strona,  
 Bo takie było męża herbu pole —  
 A na mienionym jedwabiu lazurze  
 Lśnił się herb: srebrne księżycy półkole,  
 Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.  
 A druga strona sukni szkarłatowa,  
 I herb dziewicy, szyty na szkarłacie:  
 Srebrzyste strzemie i złota podkowa.  
 Piękna to szata — a przy takiej szacie,  
 O, jakże cudna, gdy się wstydem płoni!  
 Widne ły w oku, widne drżenie dłoni,  
 I cała postać powiewna i drżąca;  
 Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca  
 Tę młodą różę, co, wpół wychylona,  
 Aksamitnego dotknęła się łona.

Dlaczegoż smutna?... Patrz: na wód lazurze  
 Kwiat się przegląda w jeziora kryształe.  
 Choć chmury słońca nie zakryją światu,  
 Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale.  
 Lilija wodna może przeczuć burze —  
 Kwiat czuje... Ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,  
 Zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały,  
 I pochodniami świecili kozaki.  
 Noc księżycowa, widna, jak dzień biały.

„Stójcie!” — zawołał pierwszy swat — „Przedemną  
Nie widzę domu!... Janie, wszak tu droga  
Do twojej chaty?... Ha! Cóżto? Dla Boga!  
Czy dom twój zniknął? Czy mi w oczach ciemno?  
Ale nie — widzę — oto orzą pługi,  
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa...”  
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi —  
Patrzą, nie wierzą. — Sam Jan staje, słucha,  
Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa...  
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił. Prędko, jak błysk gromu,  
Stał przed żoną, obłąkany, błądzący;  
Na jego szatach widać krwawe ślady...  
„Anno!” — rzekł — „Anno, wracaj! — Nie mam domu!  
Nie wrócę z tobą! Obelga dotkliwa!  
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu!  
Już mnie domowe szczęście nie omami!  
Wracaj, o Anno! Ty będziesz szczęśliwa!  
W twojem objęciu zalałbym się łzami.  
Ja nie mam domu!...” Zadrżał — i spał konia —  
I, jak wiatr, szybko poleciał przez błonia.  
Nazajutrz rano pochowali w grobie  
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął. Żadnej o nim wiedzy  
A po nim żona chodziła w żałobie.  
Jej serce straszne skolały ciosy,  
Po śnie wesela został płacz — pierścioneł.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,  
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek  
Wleciał nad skiby przeoranej roli,  
Nuąc piosenkę smutku i niedoli.

## III.

## BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,  
Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.  
Ściany drewniane, po ścianach obicie  
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty,  
Straszne, jak mary, które roi dzieci.  
Z ram poczerniałe patrzą antenaty —  
A przed obrazem jedna lampa płonie,  
Gdzie Matka Boska w gwiaździstej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary,  
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny  
Głośnie wahał się po ścianach zegary —  
A na dziedzińcu lipy i osiny  
Szumiały smutnie — i gdzieś między szpary  
Świerszcz się odzywał — i pies, stróż rodziny,  
U wrót podwórza nieraz się odwoła  
Na psów szczekanie z pobliskiego siola.

Siedziała Anna; przy niej ojciec stary  
Otwiera świętych poważne żywoty  
I czyta głośnie, a spokojność wiary —  
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę —  
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,

I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;  
Jako płacz dziecka, kiedy, rozkwilone,  
Ściga za matką — chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczekały brytany zbudzone,  
I nagle drzwi się otwarły komnaty.  
Wszedł mały karzeł — czapkę miał na głowie,  
Brzmiącą dzwonekami, obszytą w galony —  
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!”  
— „Na wieki wieków” — starzec mu odpowie.  
A karzeł znowu nisko schylił głowy  
I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,  
Dziś mnie posyła po paniach i panach,  
Jutro was prosi na swój bal maskowy.  
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,  
A wszyscy w dziwne przybrani maskary.”  
— „Ha! Precz mi z oczu!” — krzyknął cześnik stary —  
„Precz! Pan twój z nędzy, z łez naszych uraga!  
Precz! Bo na Boga...” Lecz nie skończył mowy:  
Upadł na krzesło i, zdjęty niemocą,  
Już gniewu swego nie mógł wyrzucić słowy...

Była to straszna chwila przed północą:  
Wokoło słycać nocnych kurów pianie,  
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.  
Znała zadrżały obrazy na ścianie,  
Znów się drzwi domu naścieżaj rozbiegły —  
Wszedł błady człowiek, lecz na powitanie,  
Jak zwykle, Boga imienia nie chwalił,  
I, opatrzone w pieczęć, zawinięcie  
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko, córko, to Jana pieczęcie!” —  
Wykrzyknął starzec, воск rozłamał kruchy

I znalazł słowa: „Anno! Bądź na balu!”  
A dalej szaty z tureckiego szalu,  
Wielkie, ze złota ulane łańcuchy,  
Brylanty, lśniące, jak gwiazdy w noc ciemną,  
Perły, daleko łowione w Basorze...  
Anna spojrzała i zbladła: „O Boże!  
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nade mną!”

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!  
Czy Zygmunt z grobu wstaje — tron zasiada?  
Czy znów z Wenecji, co po morzu pływa,  
Do Polski wnosi karnawału święta?...  
Odkąd Batory sławną Polską włada,  
Polak się bije, zabaw nie pamięta —  
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.  
Oto są złote krakowskie komnaty,  
Podobne kształtem, złoconemi ściany,  
Strojne w atłasy i drogie bławaty —  
Oto jest zgraja królewska barwiona!  
Szaty ma cudne, dorobione twarze;  
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?  
Może truciznę podaje Barbarze?...

Snują się tłumem pomiędzy kolumny.  
Ujrysz tu wszystkie zwyczaje, narody.  
Patrz: oto piórem błyska Hiszpan dumny,  
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;  
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary —  
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica,  
A w rękę jego drżą struny gitary.

Patrz: oto w czarnej zasłonie dziewica  
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.  
Oboje, widać, z wysokiego stanu:

Ona zbierała w Neapolu wieniec —  
 On się urodził w Rzymie oceanu,\*)  
 A pieśni majtków i szum cichej fali  
 Ukołysały umysł jeszcze młody —  
 I rzucił ślubny pierścionek do wody,  
 Poślubił morze i, jak Tas, się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;  
 Dziwna tam maska! Dziwne jej ubiory!  
 Kaszmirska szata, w cudne szyta wzory —  
 Od szaty bije blask diamentowy —  
 We włosach toną przepaski z koralu...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali:  
 „Kto jest ta maska?... Sam król nasz, Batory,  
 Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,  
 W skarbcu królewskim!... Kto jest ta dziewczica?“...  
 Późna ciekawość; pod maską jej lica —  
 Ani się słowem wydała w rozmowie.

\*) Wenecja.

## IV.

## ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiała komnata;  
 Głośna to radość, lecz radość nieszczerą;  
 Śmiech słyhać!... Śmiech to wymuszony świata,  
 Na bladych licach nigdy nie umiera.  
 Śmiech ten jaśnieje, jako kwiaty z płótna,  
 Któremi błyszczy biesiadnika głowa:  
 Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,  
 Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna —  
 Nigdy nie żyły i w nieba błękicie  
 Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.  
 Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie  
 Nad jedną chwilę rozkoszy, choć błędną?

Pan Brzeżan, smutny, milczący, ponury,  
 Porzucił tłum różnobarwne fale;  
 Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury  
 I wodotryski wychładzały salę.  
 Okna posępne gotyckiej struktury,  
 Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,  
 Cisną się krzewy kwitnące jaśminu;  
 Wokoło stoły z marmuru, bursztynu,  
 A z ram złożonych niejedna twarz blada,  
 Której wiekami ściemniały kolory,

Twarz przodków, patrzy, smutna, nieruchoma.  
Chodził starosta; krok niepewny, skory —  
Za nim się cienie kładły od księżyca;  
A, gdy na niebo podniósł blade lica,  
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słycać wrzaski —  
I zbiegł starosta do sali biesiady,  
Zawołał pazia, pomieszany, blady.  
— „Paziu mój, paziu! Co znaczą te maski?  
Prawie połowę zajęli komnaty —  
Czoła zakryte i tatarskie szaty...”  
— „O panie: twojej bojaźni nie dziele:  
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.” —  
— „Nie są to, paziu, nie są przyjaciele!  
Szlachtaby zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,  
Zarazby pełne obiegła szklannice —  
A oni milczą, kryją tajemnicę...  
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali —  
Niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże!  
Zwodowa wieża i zamek się pali!  
O, zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?  
Miecz mój i zbroja! Prędeż, paziu młody!”

Już nie czas. Zewsząd tłumne pogan wrogi  
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;  
Trupami sali zawalili progi,  
Ogień pożaru zażęgli na gody.  
Lecz któż na czele roznieca pożogi?  
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?  
Jestże ich wodzem, baszą, atamanem? —  
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju;  
Czoło złocistym przysłonił turbanem  
I wiarę złotym księżycem naznaczył.

Leci na czele i służbę pomija;  
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył.  
Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija.  
Już wpadł do sali; zaraz za nim w ślady  
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe;  
Światła zadrżały, zgasły — tylko blady  
Świecił się promień lamp, w alabastrowe  
Ukrytych głazy... Wpadł, jak śmierci mara,  
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...  
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie, patrzcie! Tatar dobył miecza!  
Patrzcie! O zgroza! To miecz dobrze znany!  
Nad emaliji zaćmionym lazurem  
Obraz Najświętszej Panny malowany  
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,  
Herb, jakby srebrne księżyca półkole  
I gwiazda — nad nią hełm ze strusiem piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,  
I padł starosta na twarde granity.  
Zaśmiał się Tatar — śmiechem obudzone,  
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.  
Była to maska, nieznana nikomu,  
Którą brylantów moc wielka pokrywa.  
Śmiech usłyszała i, jakby od gromu,  
Zadrżała — padła na głaz, jak nieżywa;  
A Tatar przybiegł i padł na kolana —  
Cuci ją — węzły ścieśnione rozrywa...  
Twarz jego była straszna, obłąkana;  
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki —  
Ona, jak martwa, była w jego dłoni:  
Z głowy różane pospadały wianki,  
I włos się rozwił — pełny słodkiej woni,

Rozwiany, splywał aż do stóp Tatar —  
A strasznie bladą była twarz dziewczycy.

Budzi się... Gdzież jest? W zamkowej kaplicy —  
A przed nią postać, jak przeszłości mara.  
Dokoła było i straszno i ciemno,  
A księżyc mury oświecał kościoła.  
— „Tyż to, mój luby? Tyż to jesteś ze mną?  
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!  
Niech cię obaczę — rysy twego czoła...”  
I zdjął Bielecki turban muślinowy —  
Anna spojrzała i padła omdlona.  
Znów po niej życia rozlały się ślady,  
I, znów po chwili, ciężko przebudzona,  
Rzekła: „O luby! Tak straszny! Tak blady!...”  
— „Cha! Błady?” — przerwał rycerz z dzikim

[śmiechem —

„Wszak zdradzam!...” Zamilkł — lecz ostatnie słowo,  
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,  
Przerwało ciszę kościoła grobową.  
A rycerz mówił: „Tak! Twarz moja blada!  
Z inną cię twarzą w czas szczęśliwy witał...  
Ja zdradzam! Będę, jak róża, rozkwitał?  
Na mojem czole napisano — „zdrada.”  
Kraj cały we krwi... Wznies na księżyc oczy,  
Patrz na te okna, na szkłe malowidła:  
Gdy błysnie słońce, ów anioł roztoczy  
Różane lica, a srebrzyste skrzydła;  
Lecz szklisty obraz, przejęty księżycem.  
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,  
Ciemniejszym patrzy i niepewnem licem —  
Smutną ma postać, obumarłe barwy.  
Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy;  
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy

Oświeci nieszczęść lampa — od tej twarzy  
Weselsze będą grobowe cyprysy!  
O luba moja, poco te rozmowy?  
Luba, chodź za mną wieść życie tulaczy!  
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!  
Na twojem łonie dożyję siwizny,  
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.”  
— „Mój ojciec!” — „Ojciec?... Ojciec przeklnie ciebie.  
I ty się lękasz?... Przeklnie! I cóż znaczy  
Przekleństwo ojca, braci, lub ojczyzny?...  
Chodź w kraj daleki! Tam będziesz, jak w niebie:  
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje,  
Są ludzie — wszyscy przyjaciółmi memi;  
Jest wszystko! Luba, czegoż tam nie staje?  
Luba, jest wszystko, wszystko — prócz tej ziemi”.

## V.

## KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew. Z modrzewiu jej ściany,  
Już pochylone, wsparte na podpory.  
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;  
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,  
Różne już na nich wybiło kolory.  
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,  
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły,  
Na progu żebrak pacierze powtarza.  
Wokoło cmentarz, kwiatami zarosły,  
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słyhać wiejski dzwon kościelny.  
Zadzwonił — zewsząd lud spieszy przez pola.  
Było to święto, był to dzień niedzielny;  
Dziś plug spoczywa, zieleni się rola.  
Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,  
Zabrzmiała młodzież, do śpiewu gotowa;  
Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty —  
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,  
Ucichła... Księdza tylko słyhać słowa,  
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca —  
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,  
Niekiedy starzec księdzu odpowiada —

Świergocą wróble — i pod 'szczytem wieży  
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła. — Oto w niskie progi  
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.  
Jeden padł na twarz, całował podłogi —  
Drugi, ponury, nie uchylił czoła.  
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi  
Błysnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.  
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli —  
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,  
Teraz zaczyna mówić boskie słowo!  
„O bracia, dzieci! I tegożem dożył,  
Ja, stary wiekiem, z ubieloną głową,  
Że, kiedy nieraz osładzałem troski,  
Dziś żal pod strzechę niosę w bożem słowie.  
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta —  
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski;  
Zdradził kraj, wiarę... Ksiądz prymas w Krakowie  
Wyklął go — klątwę na me przesłał usta.  
Raz go ostatni bez klątwy wspominam;  
Módlcie się — ja się będę modlił z wami...  
A teraz — bracia, dzieci — ja przeklinam!...”  
Zachwiał się starzec i zalał się łzami.  
Zabrzmiało „amen“ — lecz amen żałoby —  
Jakże niechętnie — dźwiękiem ledwo żywe...  
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,  
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale, zaledwo podniosło się łkanie,  
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,

U progu nowy zgiełk i zamieszanie.  
 Jeden z wędrowców, co stali u proga,  
 Zadrżał — i upadł bez czucia na głazy;  
 Drugi zaś, drżący i blade straszliwie,  
 Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy —  
 Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.  
 Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca  
 I tam, na zimnym kamieniu grobowca,  
 Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.  
 Cieniem świeżości okryły go drzewa,  
 Cieniem, co groby kwitnące okrywa —  
 Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;  
 Z pomocą pasterz troskliwy przybywa —  
 Spojrzał i zadrżał: jakby blaskiem gromu  
 Twarz go ta razi — twarz błąda, nieżywa.  
 I rzekł: „Wyklęty!... My idźmy do domu!...“  
 Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,  
 A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;  
 We wrotach stanął, twarz odwrócił błądą  
 I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny —  
 A jego litość, liczniejsza nad ziarna  
 Morskiego piasku i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża —  
 Oto z drugiego spadła szata czarna  
 I twarz odkryła... Przebóg! To dziewczica!  
 To Anna!... Z ust jej nie słyszano słowa.  
 Czy brak w niej czucia? Bo sucha żrennica,  
 Twarz nieruchoma, jakby marmurowa,  
 A w oczach ogień gorączki się pali.  
 Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty  
 I brylantami oświecone szaty,  
 We włosach jasne przepaski z koralami.

„O mój najmilszy!“ — rzekła — „o mój drogi!  
 Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!  
 Tyś na mogile usnął, a w te progi  
 Umarli wchodzą i śpią pod grobami.  
 Ty milczysz? Luby, odpowiedz mi łzami!“  
 Nagle spojrziała i krzyknęła srodze,  
 Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:  
 „Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze;  
 Sama w święconej pochowam cię ziemi.“

Rzekła — krzyż jeden wyrwała z mogiły —  
 Kopie grobowiec wśród świeżej darniny;  
 Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...  
 I cicho smutne płynęły godziny.  
 Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,  
 Brzozy po grobach długie kładły cienie,  
 Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,  
 Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy.  
 Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,  
 I przez liść brzozy księżyc zapłoniony  
 Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,  
 Lica wyśrebrzał — a nocne zasłony  
 Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy  
 Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;  
 Nieszczęsna, boskiej wzywała pomocy.  
 Widna jej postać przy blasku miesiąca,  
 Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.  
 Biję we wrota coraz słabszą dłonią —  
 Smutne się echo o groby roztrąca.  
 Lecz echo coraz słabsze niosło razy,  
 I coraz słabsze... nikły, jako w Bogu  
 Tonące modły, jako śpiew daleki...

Dziewica, blada, na kamiennym progu  
Usnęła — może usnęła na wieki...

I cicho! Niechaj głos pieśni stłumiony  
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie!  
Całego świata gdy się odgłos spłynie,  
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;  
Lecz myśl, głęboko zadumana, słyszy,  
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony —  
Jęki rozpaczy — i wrzawa wesola —  
I płacz boleści — i śmiech obłąkania...  
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy  
Słuchem anioła i myślą anioła.

